PRZYGODY
KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

Władysław Chomętowski.

(*Ciąg dalszy*).

Hr. Walcourt był jednym z najgorliwszych mistrzów lożowych, po kilka już razy, na mocy wyborów, przewodniczył massońskiéj prowincjonalnéj loży, która dawniéj zawsze znajdowała się w Oehringen, ale na żądanie hrabiego i za zezwoleniem wielkiego mistrza przeniesiona została czasowo do jego zamku, gdzie wielebny mistrz Walcourt, cztery najwspanialsze sale wyznaczył na posiedzenia, prace i zabawy towarzystwa. W dniu 15 lipca 1784 roku z okolicy Oehringen i z dalszych miejsc liczni do zamku ściągali goście, dwie bowiem uroczystości odbyć się miały jednocześnie: najprzód wielki mistrz loży massońskiéj, przyjechał do miasta Oehringen i miał zaszczycić swą obecnością tutejszą prowincjonalną lożę, powtóre ks. Marcin Lubomirski przypuszczony do bractwa massonów, dziś w przytomności wielkiego mistrza uroczystą miał wykonać przysięgę. Licznie zgromadzeni bracia oczekiwali już w głównéj sali, kiedy w przyległéj komnacie mistrz Walcourt zamknięty sam na sam z ks. Marcinem, przygotowywał go do zbliżającéj się ceremonji i prowadził z nim następującą rozmowę:

— Rozumiesz już bracie cel główny stowarzyszenia, które na chwałę Wielkiego Budowniczego świata i przyspieszenie jego dzieła na ziemi rozkwita dziś w pokoju i prawdzie. Nie wątpię też, jako pojmujesz dobrze bracie, że nim przestąpisz próg massońskiéj loży powinieneś odrzucić na stronę wszelkie przesądy kastowe lub religijne, uprzedzenia narodowe i t. p., jako tamujące postęp wielkiego dzieła odrodzenia a utrzymujące, ludy w ciemności i wiecznym obłędzie. Powtórz mi więc jeszcze raz bracie, czy wyrzekasz się na zawsze dawnych przesądów i błędów i pragniesz szczerze podzielić z nami wszystkie mozoły i trudy.



Widzę, że próżno rachowałam na poczciwość i rzetelność wacpana.

— Wyrzekam się wszelkich przesądów, a pragnę być zaliczonym w poczet waszego szanownego bractwa; odrzekł stanowczym głosem ks. Marcin.

— Dobrze więc, ale pamiętaj bracie, że każde teraz wymówione słowo, musisz wkrótce zapieczętować przysięgą.

— Wiem o tem i gotów jestem wykonać ją jak najprędzéj.

— W imieniu więc Wielkiego Budowniczego świata, my pracownicy jego, wolni mularze uważamy cię już za naszego współpracownika mularza i brata, w imieniu jego wzywamy cię do wspólnéj roboty gmachu, który ma stanąć i wznieść się wysoko na zasadach równości i miłości bratniej. To powiedziawszy mistrz Walcourt, wziął za rękę nowego towarzysza i wprowadził do wielkiej, kirem obitéj sali, któréj ściany świeciły mularskiemi znakami, wy-

szytemi na czarnem suknie w kształcie słońca księżyca, różnych gwiazd i ich konstellacji i t. p. masońskich symbolów. Członkowie loży uszykowani w dwie kolumny wyszli na ich spotkanie, trzej postępujący na czele trzymali zapalone pochodnie w rękach, inni dzierżyli miecze w dłoniach, za danym przez mistrza znakiem zatrzymał się orszak cały, mistrz zaś zadawał jeszcze ks. Marcinowi następujące pytania:

— Czy wierzysz w duszę ludzką i jéj nieśmiertelność?

— Wierzę.

— Czy wierzysz w Istność najwyższą, pierwszą i nieśmiertelną przyczynę bytu wszechświata?

— Wierzę.

— Czy wierzysz. że ta Istność najwyższa karze surowo w przyszłem życiu za złamaną przysięgę?

— Wierzę.

— Skoro podstawą naszego społeczeństwa jest miłość porządku i równości, powiedz, czy czujesz się dość silnym do podeptania przesądów i pogardzenia zaszczytami świata, a czy zechcesz ograniczyć się dotąd na honorze i zaszczytach, któremi nagradza loża za gorliwe w jéj sprawie usługi i cnotę?

— Nie pragnę innego zaszczytu, nad honor mianowania się członkiem loży i służenia jéj sprawie.

— Czy posiadasz dostateczne fundusze do pokrycia wydatków loży i udzielania jałmużny nieszczęśliwym, których loża w szczególnéj ma swojéj pieczy?

— Posiadam.

— Czy znajdziesz dość czasu do uczestniczenia w naszych obradach i pracach?

— Znajdę.

— Dobrze więc, jesteś już naszym bratem i mularzem, ale nie jesteś członkiem loży, dopóki ostatniej nie wykonasz przysięgi na stopniach naszego ołtarza. Tymczasem idź za mną bracie, oprowadzę cię po loży i wyjaśnię wielkie tajemnice masonów. To powiedziawszy przeszedł się mistrz wielebny na około sali z ks. Marcinem i tłomaczył po szczególe znaczenie każdego z tajemniczych godeł loży, którą nazwał świątynią Salomona, poczem skinął na jednego z braci, który zbliżył się do Marcina, przypasał mu fartuch i podał białe rękawiczki. Mistrz Walcourt dopełniwszy w ten sposób pierwszego aktu przyjęcia nowego towarzysza masonów, zasiadł na swem tronie, wziął młotek w rękę i uderzył nim raz jeden. Oczy wszystkich zwróciły się na *wielebnego*, który rzekł poważnie:

— Wzywam cię mistrzu ceremonji idż do sali *zatracenia* i dowiedz się czy najwspanialszy i najpotężniejszy mistrz wielki, nie zbliża się już do naszéj świątyni.

Mistrz ceremonji wykonał natychmiast polecenie i powrócił z wieścią, że w istocie już mistrz wielki oczekuje w przyległej sali. Czterech braci mularzy wystąpiło z szeregów z zapalonemi pochodniami i czterech z mieczami w ręku, poczem mistrz ceremonji stanął na ich czele i wyszedł wraz z niemi do sali *zatracenia*, w której zawiadomił oczekującego wielkiego mistrza, że loża już jest gotowa na jego przyjęcie. Tymczasem wielebny mistrz loży kazał uszykować się braciom mularzom wpółkole; kiedy ks. Marcin stał ciągle na stronie przy stopniach tronu i ciekawie przyglądał się obchodowi. Rozwarły się drzwi loży, wczedł najprzód mistrz ceremonji, czterej bracia z mieczami i czterej z zapalonemi pochodniami, potem ukazał się mistrz wielki, a za nim orszak jego; był on wysokiego wzrostu i poważnego oblicza, a mógł mieć około lat pięćdziesięciu wieku. *Wielebny* spostrzegłszy najpotężniejszego mistrza, uderzył dziewięć razy młotkiem, po trzy razy w pewnych ustępach, dwaj urzędnicy lożowi powtórzyli te uderzenia; za zbliżeniem się wielkiego mistrza wielebny mistrz Walcourt zeszedł z tronu i wręczył mu młotek, ten zaś zasiadł na jego miejscu na tronie, poczem uderzył młotkiem, co oznaczało rozkaz, ażeby każdy z członków loży zasiadł na przeznaczonem mu miejscu. Poczem mistrz wielki uderzył powtórnie na znak, że chce przemówić do zgromadzenia; urzędnicy powtórzyli za nim uderzenie młotkiem i zawołali; „baczność bracia.“ Mistrz wielki odezwał się w te słowa:

— Witam was bracia mularze i cieszę się mocno, że mogę osobiście podziękować za trudy podejmowane przez was w budowie naszego gmachu; z raportów które odbieram, przekonywam się o owocach waszej pracy, widzę z radością jak wzrasta nasze dzieło na chwałę wielkiego budowniczego świata, boć wielkie to jest zaprawdę i wielemożne dzieło, którego szranki mają objąć świat cały, a którego fundamentem jest zakon równości i miłości bratniej.

W imieniu całego zgromadzenia loży odpowiedział mówca wielkiemu mistrzowi:

— Pozwól arcy wspaniały i arcypotężny mistrzu, że ci oświadczę w imieniu mych wszystkich braci wdzięczność i radość, któréj doznajemy na widok twego prześwietnego oblicza. Szczęśliwi jesteśmy, że zasłużyliśmy na pobłażliwy sąd w twoich oczach, uznanie to będzie dla nas pobudką do dalszej pracy i wytrwałości. Loża nasza, arcypotężny mistrzu, pomnożyła się w tym roku znaczną liczbą członków, dzięki staraniom braci, szczególniej zaś wielebnego mistrza, dziś też przybywa do naszego grona jeden cudzoziemiec polak, który w przytomności twojej arcypotężny mistrzu, ma wykonać przysięgę na wierność ustawom mularskiego bractwa.

Skoro tak odpowiedział mówca, mistrz lożowy przedstawił ks. Marcina wielkiemu mistrzowi, który odezwał się do niego w te słowa:

— Pozdrawiam cię bracie w imieniu wszystkich braci mularzy, cieszę się mocno, że cu-

dzoziemiec polak wstępuje do towarzystwa tutejszej loży, bo jako przesądy narodowości, kast i wyznania pierzchają przed naszem światłem, tak pożądaną jest rzeczą, ażeby rozmaitéj narodowości członkowie składali zgromadzenie nasze.“

Mistrz Walcourt poprowadził ks. Marcina na stopnie ołtarza, skinął ażeby ukląkł i powtarzał następującą przysięgę:

„Ja Marcin Lubomirski przyrzekam i przysięgam, w przytomności wielkiego budowniczego świata, na honor i na zbawienie moje, jako będę posłuszny we wszystkiem rozkazom wielebnego mistrza, prawom mularskiego stowarzyszenia i ustawom tej loży. Tak mi niech Bóg dopomoże i Jego święta ewangelja.“

Rrzeczoną przysięgę wykonał ks. Marcin trzymając w ręku miecz, poczem powstał i zajął wyznaczone mu miejsce pomiędzy członkami loży.

Wielki mistrz po ukończonym obrzędzie pożegnał poważnym ukłonem całe zgromadzenie; mistrz ceremonji i ośmiu braci z mieczami i zapalonemi pochodniami wyprowadzili go do przyległéj sali. Suta uczta w zamku hrabiego zakończyła uroczystość dnia tego; spełniano liczne toasty w następującym porządku: Za pomyślność powszechną narodów, w szczególności zaś za zdrowie niektórych książąt niemieckiej Rzeszy, arcypotężnego wielkiego mistrza i jego deputowanych, za wielebnego mistrza loży, nowo przybranego członka Marcina Lubomirskiego, nakoniec za wszystkich braci mularzy rozsianych po całym świecie. Rozmową i pieśniami rozweselali się goście do późnéj nocy. Wielki mistrz odwiedził księcia Fryderyka Ludwika Karola, w dniu zaś następnym znajdował się powtórnie w masońskiej loży, gdzie słuchał raportów i kierował obradami towarzystwa.

XXXV.

Dalszy ciąg dziennika kapitana Turskiego. W Oehringen 20 września.

W dniu wczorajszym, szef mój, ks. Marcin, nie mogąc doczekać się pieniędzy, wyjechał ztąd z powrotem do Polski; jeden tylko lokaj i dwóch hajduków towarzyszą mu w téj podróży, my zaś wszyscy pozostajemy tutaj w zakładzie; spraw to miłosierny Boże, by przynajmniej nie na długo wypadło nam czekać na wykupienie z téj niemieckiej niewoli, nie lepszéj pono niż była owa egipska, boć nudy tu coraz gorsze, a biorąc wszystko na kredyt, brniemy okrutnie w długi, których jeżeli nie wypłaciemy prędko, nie możemy dobrego traktamentu spodziewać się ze strony wierzycieli naszych. Przekonał się nakoniec książe, że Poniński zwodził go haniebnie i że mógłby do dnia sądnego czekać tutaj daremnie, na przysłanie przyrzeczonej mu kwoty; przykro mu było rozstawać się z massonami, bo jak mi sam to nawet już mówił, zapisał się do ich cechu i przysiągł na wiarę i posłuszeństwo loży; ciężko mu też było żegnać się z amantkami, imcipanią Walbergową i panną Tamburini włoszką, którą na większe utrapienie moje zostawił mi tutaj na karku, ma bowiem ją wykupić wraz z nami i sprowadzić do warszawskiego teatru. Włoszka siedzi teraz spokojnie, nie kłopocze się swym losem, ale z rana i wieczorem egzercytuje się ustawicznie w śpiewie. Rzecz wcale jest inna z Walbergową; ta szalona kobieta wczoraj szlochała dzień cały po odjeździe księcia, a dziś prosiła mię ażebym przyszedł do niej, do pałacu, wyinwentowawszy ten pretekst, że ma ważną do zakomunikowania mi wiadomość, która dotycze się interesu mojego szefa. Skoro stanąłem przed nią i wyraziłem moje zadziwienie, widząc ją zafrasowaną i zapłakaną tak mocno, odpowiedziała mi na to z wielką a nieudaną żałością.

— Nie dziw się wacpan, że w przytomności twojéj folguję żalowi memu, znam cię jako wiernego sługę i przyjaciela ks. Marcina, chcę więc ażebyś się przeświadczył o ciężkiem utrapieniu mojem.... Wiedz, że nieszczęśliwą jestem w pożyciu z mężem, wiedz, że los fatalny skojarzył nasze małżeństwo, a jak dla jednéj tak dla drugiej strony, więzy te nieznośnemi się już stały. Zamyślałam dawno o rozwodzie, kiedy poznałam szefa wacpana, ks. Marcina, który żywe okazał mi sentymenta i pozyskał najzupełniéj serce moje...,

Usłyszawszy tak fatalne wyznanie z ust jejmości, dorozumiałem się już końca, a pragnąc prędzéj wyprowadzić ją z błędu, zawołałem:

— Ależ na Boga! nie rozważyłeś jw. pani, że ks. Marcin ma żonę, która wprawdzie nie żyje z nim od pewnego czasu, nie słyszałem wcale ażeby miał się z nią rozwodzić, a pojmowć w małżeństwo inną!

Skoro usłyszała hr. Walbergowa moją odpowiedź, twarz jéj zmieniła się nagle, zapłakane oczy roziskrzyły się jak głownie, słowem zaszlochana pani, postać piekielnej furji przyjęła na się i wykrzyknęła urywanym głosem:

Więc sądzisz wacpan, że twój szef.... książe Marcin mię zwodzi!

Zagadniony znów tak nagle, nie wiedziałem zaprawdę co jéj odpowiedzieć miałem, kończę już życia mego lat pięćdziesiąt, a nigdy w tak przykrej nie znajdowałem się sytuacji, pragnąłem więc pozbyć się tego nowego kłopotu jak najprędzéj i rzekłem:

— Nie wiem jw. pani, ani też wiedzieć nie chcę, jakie książe Marcin może mieć projekta i w jakie wchodzi układy; oświadczyłem to tylko co wiem dokumentnie, to jest że ma obecnie żonę, nic zaś o rozwodzie niesłyszałem, zresztą w tak arcy delikatnej materji nie byłem nigdy powiernikiem sentymentów mego szefa, ani też myślę nadal wdawać się niepotrzebnie w te sprawy.

Dwójznaczna moja odpowiedź nie ułagodziła desperacji jejmości, która nie mogąc ukryć niezadowolenia, zawołała z gniewem:

— Widzę, że próżno rachowałam na poczciwość i rzetelność wacpana... najprzód zaostrzyłeś twą odpowiedzią boleść moją, następnie nie chcesz powiedzieć prawdy, udając jakobyś o niczem nie wiedział.

Przerażony gwałtowną natarczywością damy, odpowiedziałem krótko: nie spodziewałem się nigdy, ażeby słowa moje na umyśle jw. pani tak wielką uczyniły impresją, ale powtarzam raz jeszcze, nie zgłębiałem w téj mierze sentymentów mego szefa, żadnych przeto objaśnień udzielić jéj nie mogę. To powiedziawszy ukłoniłem się damie i pospiesznie wyszedłem z jéj komnaty.

Dnia 6 października.

Książe Marcin pisze do mnie przyjechawszy do Warszawy, że Poniński nikomu długów nie płaci a zatem nie wejdzie w posiadanie Lubaru, który miał przejść w jego ręce na mocy zawartego układu. Pisze szef mój, że teraz bawi w Warszawie, gdzie urządza dworski teatr dla króla, który mu wyznacza dwanaście tysięcy złotych rocznie, ale że wkrótce musi pojechać do Lubaru, gdzie w czasie jego nieobecności wielkie działy się awantury, bo imci pan porucznik Wąsowicz, rozmiłowany w swéj młodej żonie, którą wykradł z ojcowskiego domu, biega teraz jak szalony po przyjaciołach, których błaga o protekcję do Szwejkowskiego, ażeby darował mu jego winę i oddał żonę, jako prawemu mężowi. Tymczasem kiedy porucznik Wąsowicz zostawił bez dozoru służbę dworską i żołnierzy w Lubarze, kilku z tych ostatnich, uformowało zbójecką bandę, która od dwóch już tygodni napada i rabuje wioski okoliczne, jako też po drogach napastuje podróżnych; otóż ten to fatalny *casus* czyniący dyshonor chorągwi mego szefa, skłania go do prędkiego wyjazdu z Warszawy, w celu uporządkowania majątku i zaprowadzenia pomiędzy służbą rygoru. Ale najgorszą w końcu wiadomość wyczytałem w liście, narzeka bowiem książe, że tak ogołocony jest z funduszów, że ani szeląga obecnie przysłać nam nie może, każe się tylko pocieszać nadzieją, że myśli ciągle o nas i że niezadługo przyśle do Oehringen pieniądze, na wykupienie sług swoich, jako też śpiewaczki włoszki. Nie mogę też nie wspomnieć, że ta młoda szalona włoszka, ogromnie wyczerpie kieszeń księcia, jeżeli długo tutaj żyć będzie na jego rachunek, bo wciąż nowe a nowe przychodzą jéj do głowy fantazje, a tak umie imponować każdemu, że chorąży, krajczy i kamerdyner są najpokorniejszemi jéj sługami.... Z wielkim też wstydem wyznać muszę, że nawet mnie starego opętała ta włoszka, bo kiedy do Oehringen przyjechał włoch malarz i kazała mu robić swój portret, napadła gwałtownie na mnie, ażebym wraz z nią dał mu się malować; z początku wymawiałem się jak mogłem, ale w końcu zwyciężony natarczywością i pokusą, zasiadłem z tą czarodziejką przed malarzem, który nas jak żywych na jednem płótnie wymalował.

Dnia 30 października.

Położenie nasze pogorsza się z dniem każdym, a na mnie najsroższe walą się burze, wszyscy i obcy i swoi upominają się u mnie zapłaty i wymówki czynią mi ciągle; oberżysta Manugold już zapowiedział że poda na mnie zaskarżenie do Władzy, jeżeli w przeciągu dwóch tygodni nie uiszczę mu długu, który zaciągam w imieniu szefa na utrzymanie jego dworu. Imcipanowie Trębalski, Urbański, Barański i kamerdyner Trojanowski, wciąż mi pokoju nie dają; utrzymują oni, że nie podobna ażeby książe zapomniał zupełnie o swych sługach i nie nadesłał pieniędzy. Szczególniej przykrą wczoraj miałem z niemi przeprawę, rozgłoszono bowiem w mieście, że masoni z Warszawy napisali list do swych przyjaciół masonów w Oehringen, w którym donoszą o złym stanie interesów naszego księcia Marcina, w skutku czego przerażony oberżysta odgrażał się chorążemu Trębalskiemu i kamerdynerowi Trojanowskiemu, że dłużéj na kredyt nic im dawać nie będzie i że zamknie ich za długi do kozy. Chorąży przyszedł do mnie zdesperowany, zaklinał ażebym mu wyznał szczerze, czy pewny jestem że książe nadeśle na wykupienie swego dworu pieniądze, chce bowiem zawczasu pomyśleć o środkach ratunku i wyzwoleniu się z niemieckiej kozy, która stokroć byłaby mu nieznośniejszą od saméj śmierci. Odpowiedziałem chorążemu, że lubo pewny jestem dobrych intencji naszego szefa, nie mogę jednak ręczyć za nic, w tak wielkiém znajdując się od niego oddaleniu, nie wiem jaki obecnie jest stan jego majątku, jako też czy może znaleźć dostateczny fundusz, na spłacenie zaciągniętego w Oehringen długu. Odpowiedź moja nie zadowolniła wcale chorążego, który dla rozpędzenia tego frasunku, szukał pociechy i rozweselenia w trunku, poczem swarzył się z kamerdynerem, który żalił się przedemną dziś z rana, jako imcipan Trębalski przyszedłszy na noc dobrze podpity do kwatery, ściągnął go z łóżka, a jako człek niepiśmienny zmusił tegoż imcipana Trojanowskiego, ażeby w najniedyskretniejszych wyrazach pisał list do jo. księcia, z gorzkiemi wymówkami od wszystkich sług jego, za niepamięć o nich i wyrządzoną im krzywdę.

Najłaskawszy dla mnie był dotąd tutejszy książe Fryderyk; często mię zapraszał na obiady i wieczerze, ale podczas ostatniej mojej u niego bytności, wymawiał, że szef mój wyraźnie zapomniał już o nim, bo ani jednego z Warszawy doń nie napisał listu. Imcipanna Tamburini rozwesela się jak może, w towarzystwie tutejszych dam i kawalerów, choć nieraz też równie jak inni gorzkie mi czyni wymówki, że tak długo oczekuje w Oehringen na powrót ks. Marcina, lub przysłanie przyrzeczonych pieniędzy, na zapłatę długów i po-

dróż do Warszawy. Skoro jej powiedziałem, że wątpię bardzo, ażeby sam książe powrócił w te strony, lecz że przyśle niezawodnie rzeczone pieniądze, zafrasowała się mocno i zamyśliła nad tém, poczem rzekła grożąc mi ręką: Pamiętaj wacpan, że odpowiesz mi za wszystkie moje kłopoty i nieszczęścia, jeżelibym z waszéj przyczyny doznała jakiego bądź zawodu. Pogróżka ta nie podobała mi się wcale i chciałem zaprotestować przeciwko wszelkiéj odpowiedzialności z méj strony, ale słowa mi zamarły wustach, zobawy szlochów, fochów i innych forteli białogłowskich, przypomniała mi się też scena z grafową Walbergową, która od owej ostatniej rozmowy śmiertelną okazuje ku mnie nienawiść.

Dnia 10 listopada.

Ciągle też same troski otaczają mnie i niepokoją, a przeszło już od miesiąca nie miałem żadnej wiadomości od mego szefa.... Pocieszył mnie i rozweselił w tych strapieniach pewien sztukmistrz zawołany, który przed kilkoma dniami przybył do Oehringen i uchodził tu za czarnoksiężnika. Łotr ten, nazwiskiem Joly, rodem szwajcar, dawał trzy spektakle, w pierwszym reprezentował stworzenie owadów w naczyniu szklanném, napełnionem ziemią i wodą, przez rozgrzanie tegoż naczynia; w drugiem, wywoływał duchów, które za uderzeniem czarnoksięską laską w płócienną ścianę namiotu, występowały w kształcie męzkiej i niewieściej postaci z przeciwległéj ściany, odziane w białych prześcieradłach, z całą zgrozą śmierci w bladem obliczu i nieruchomym wzroku; w trzecim, za wystrzeleniem z pistoletu, wybiegało z onej ściany żyjące ptastwo i rozlatywało się nad głowami spektatorów. Przyznać muszę, że sztukmistrz ów otumanił mnie z razu straszliwie, wszyscy tu okrzyknęli go za wielkiego czarodzieja, jasam wierzyłem już nawet trochę, że przy pomocy złego ducha można działać tak widoczne cuda. Wszystkie reprezentacje powiodły mu się wybornie, gdyby nie koncept imcipana chorążego Trębalskiego, który nie wiem jakim cudem domyślił się jego fortelu, uważałbym dotąd tego szwajcara za istotnego czarnoksiężnika. Owóż po ukończeniu trzeciego spektaklu, kiedy już rozeszła się do domów oczarowana publika, Trębalski człek choć gruby i niepiśmienny, ale koncepcista, jakich mało, rzecze do mnie po cichu: „jeżeli chcesz waszmość, imcipanie kapitanie, pokażę natychmiast fortel tego oszusta i zkąd on wyprowadza cuda, które tak otumaniły dziś widzów, wiem ja gdzie przemieszkują te jego duchy i ptaki.“ To powiedziawszy wziął mnie za rękę i zaprowadził do namiotu czarnoksiężnika. *Monsieur Joly* zakłopotał się widocznie zobaczywszy nas wchodzących do jego areny, ukłonił się grzecznie i zaprotestował, że po ukończonym spektaklu nikt nie ma prawa wchodzić do jego namiotu. Imcipan Trębalski nieskonfundowany bynajmniéj jego protestacją, tém więcej, że nie zna wcale francuzkiej mowy, rzecze znów do mnie wskazując na ścianę, z której wychodziły owe mniemane duchy, w téj ścianie ukrywa się cały sekret czarodziejstwa tego oszusta. Zaledwie wypowiedział chorąży rzeczoną sentencję, dobył z pochwy pałasz i rozciął lekką płócienną zasłonę, z wielkiem zgorszeniem czarnoksiężnika, który wrzasnął przeraźliwie i chciał się rzucić na okrutnego delatora, ale zmiarkował, że już było zapóźno; jakoż sekret cały wydał się niebawem, płócienna ściana namiotu była podwójną, ukryte za zasłoną persony, alias mniemane duchy, wyskoczyły przerażone tak niespodziewaną *imprezą*. Sztukmistrz stał jak skamieniały i długo nieśmiał wybąknąć słowa, dopiero kiedy naśmialiśmy się już do woli, zwrócił się do mnie z przemową, w której skarżył się na niedyskrecję mego towarzysza, ubolewał nad swą stratą, zakończył jednak oświadczeniem, że nie myśli poszukiwać szkody, przebaczy figiel ten chorążemu, zaklina nas tylko gorąco, ażebyśmy nie wyrządzali mu większéj krzywdy i nie rozgłaszali sekretu przed publiką, która tak jest zadowoloną z reprezentacji. Wytłomaczyłem prośbę sztukmistrza chorążemu, poczem w mojem i w jego imieniu zaręczyłem, że może być spokojny, że nie wydamy jego czarnoksięskich sekretów niemcom, ale żądałem, ażeby mi wyznał szczerze, jakiego używa sposobu do reprezentowania owych robaków w butelce i czem oczarowywa spektatorów, że nie dostrzegają poruszania owej podwójnej ściany, z poza któréj mniemane ukazują się duchy. Przyznał mi się, co do pierwszego, że u spodu naczynia jest otwór, przez który wprowadza zręcznie owe niby nowo kreowane robaki, co zaś dotycze się podwójnéj ściany, takowa jako płócienna, podnosi się nakształt kortyny bardzo szybko, kiedy oczy wszystkich spektatorów utkwione są w jego czarnoksięzką laskę, którą uderza w przeciwległą ścianę. Tak więc najprostszym sposobem w świecie, szarlatan ten oszukuje głupi rozum ludzki i otrzymuje tytuł wielkiego magika i czarodzieja, którego przedziwne fortele odkrył nasz chorąży imci pan Trębalski.

Dnia 18 listopada.

Niesłychane mam wciąż kłopota z powodu wielkich psot i kłótni moich podkomendnych, szczególniéj chorążego Trębalskiego i kamerdynera Trojanowskiego, których kolega imci pan Barański krajczy księcia, tak uprzykrzył sobie naszą służbę, że uciekł pewnéj nocy z koniem i rzeczami swemi, a jak wieść powszechna głosi, przystał do wojska księcia panującego wirtembergskiégo. Tymczasem dwaj pierwsi prawie codziennie wyprawiają burdy, swarzą się z niemcami lub sami pomiędzy sobą, na domiar bowiem moich kłopotów, jak jeden tak drugi szaleje za włoszką, o którą wczorajszej nocy tak straszny podnieśli alarm,

że oberżystka tutejsza imcipani Manugold rozbudziła mię i zaklinała, ażebym ich uspokoił. Rad nie rad wstałem więc i poszedłem, by pohamować zapęd rywalizujących adonisów, zastałem ich już przed oberżą, stali naprzeciw siebie z dobytemi pałaszami i zabierali się do fatalnéj akcji, ale zauważałem z ich postawy, że imcipan Trębalski jak zazwyczaj skory do zaczepki i burdy, pierwszym w onej sprawie był motorem, więc wsiadłem na niego z góry i reprezentowałem fatalne skutki szalonej imprezy, która taki niezawodnie będzie mieć koniec, że obydwóch ichmościów posadzą do kozy. Ostatni mój argument ostudził gorący animusz onych junaków, uciszyli się przecie w końcu i pochowali pałasze.

Pieniędzy ani listu od księcia Marcina, jak niema tak niema; oberżysta podał już na nas skargę, jako od kilku miesięcy nie płacimy mu zaciągniętego długu naimie naszego szefa, szczególnie odgraża się mnie i pannie Tamburini, która za to pokoju mi nie daje i gorzkie czyni wymówki, utrzymując że jestem spólnikiem księcia, którego ona zaufała słowu, a który tak srogi wyrządził jej zawód.

Dnia 30 listopada.

Ten ostatni tydzień był dla nas wszystkich prawdziwie fatalny; najprzód imcipan Trębalski odrąbał kawałek ucha jednemu niemcowi, za co jak téż za inne burdy, dostał się do kozy; tenże sam los spotkał Trojanowskiego, który lubo nieraz swarzył się z chorążym, widząc jednak jego opłakaną dolę, użalił się nad nim, gorąco obstawał za towarzyszem i kłócił się z niemcami, aż w końcu zamknęli go téż razem z kolegą w kozie. W dniu onegdajszym na biedną moją głowę ostatnia zwaliła się burza, nad spodziewanie nawet niemcy ci niedyskretnie postąpili ze mną i z imcipanną Tamburini śpiewaczką, posadzili nas bowiem do aresztu, za niewypłacenie Manugoldowi oberżyście należnej kwoty, która obejmuje nietylko nasze osobiste długi, ale téż cały rachunek księcia Marcina, za utrzymanie jego dworu. Burmistrz w towarzystwie dwóch policjantów przeczytał nam dekret magistratu, skazujący mnie i imcipannę Tamburini do aresztu, z którego nie wypuszczą nas prędzéj, aż wypłacimy im rzeczoną kwotę, lub damy dostateczne poręczenie. Zaprotestowałem najsolenniéj przeciwko wyrokowi magistratu, jakoż dowiodłem, że pewna część tylko summy objętéj w rachunku oberżysty, dotyczesię mojéj persony, reszta zaś odnosi się do ogólnych wydatków dworu, za które według żadnego prawa odpowiedzialnym być nie mogę. Imci panna Tamburini przerażona tak fatalną nowiną, ledwie nie oszalała z desperacji, ale widząc determinację moją i jako protestuję przed niemcami, wydobyła swój kontrakt z ks. Marcinem i wykazała burmistrzowi dowodnie, jako zobowiązał się książe do poniesienia kosztów jéj utrzymania, tak w czasie pobytu w Oehringen, jako też w ciągu podróży do Warszawy. Burmistrz wysłuchał nas spokojnie, poczem zwracając się do mnie, rzekł:

— Jesteś panie grafie, równie jak cała służba księcia zakładnikiem jego w Oehringen.... Oberżysta tutejszy pan Manugold, jedynie z respektu dla wysokiej godności waszego szefa, oczekiwał dotąd cierpliwie na zwrot należytości, którą jo. książe przyrzekł mu nadesłać bez zwłoki, skoro stanie na miejscu w rodzinnym kraju. Nie zaprzeczysz panie grafie, że tenże jo. książe wskazał na was odjeżdżając, jako jesteście rękojmią jego słowa; nie protestowaliście wówczas przeciwko oświadczeniu waszego księcia, więc przyjęliście dobrowolnie odpowiedzialność za długi, które wszystkich dotyczą zarówno, jako do jednego należycie dworu. Racz panie grafie oświadczyć téj imcipannie włoszce, że nie do nas należy rozsądzać jej układy i kontrakt z księciem; podlega ona również aresztowi, ponieważ zaciągnęła w czasie pobytu w Oehringen długi, których dla braku funduszów nie wypłaca kredytorom, a którzy słuszną do magistratu zanieśli skargę. To powiedziawszy, skinął poważnie ręką burmistrz, co było znakiem ostatecznéj jego decyzji. Nie podobna przedstawić w opisie gwałtownego gniewu i lamentów włoszki, skoro słowo w słowo powtórzyłem jéj wyrok burmistrza, musiała jednak nieboga pohamować przyrodzoną temperamentu porywczość i udała się do wskazanego jej aresztu; zapewne dla mego większego udręczenia, zamknęli ją tuż obok mnie w przyległym pokoju, zkąd dochodzą mię ustawicznie jéj narzekania i jęki.

Dnia 22 grudnia.

Podałem rekurs do tutejszego księcia, w którym reprezentowałem okropne położenie moje i przypomniałem mu przyjacielski jego affekt dla ks. Marcina, ale żadnéj nie otrzymałem odpowiedzi, więc rozpisałem znów listy do wszystkich dawnych znajomych, jako to do grafa Walcourta i innych masonów, a zaklinałem ichmościów aby wstawili się za mną przez przyjaźń dla mego szefa, lub przez kompassją nad najnieszczęśliwszym z ludzi, który w obcym znajdując się kraju, osadzony w ciemnym areszcie, napróżno wygląda zmiłowania i pomocy. Nikt nie odpisał na moje listy, żaden z dawnych znajomych niemców nie nawiedził mię w tém więzieniu, gdzie prócz stróża, który mi mizerną raz na dzień przynosi strawę, nie widzę żadnego ludzkiego oblicza. Jako napisałem już wyżéj, imcipanna Tamburini osadzona tuż obok mojej celi w areszcie; molestowała mię zrazu okrutnie lamentami i wyrzekaniami swemi, po upływie jednak dwóch tygodni oswoiła się nieco z mizernym swym stanem, a nawet obecnie prowadzi ze mną przez ścianę dyskursy, w których dodaje mi otuchy, niby jedna z owych heroin dawnych. Wyznaję szczerze, że zawstydziła mię włoszka, bo nie spodziewałem się nigdy, ażeby zdolną była do

tak wielkiej rezygnacji i odwagi, jakoż sądziłem z początku że mię zagłuszy płaczem nad niefortunną przygodą swoją. Ale kiedy śpiewaczka pokrzepiła się tak mocno na sercu, przeciwnie, ja nieszczęśliwy kapitan Turski, upadam coraz więcéj na siłach, umysł mój miesza się widocznie, a mgła szara zasłania mi oczy....

Dnia 31 grudnia

Dzień ten ostatni roku zakończa się przecie dla mnie fortunną wieścią, odebrałem dziś zrana list ks. Marcina, w którym donosi wyraźnie, że posiada już dostateczną kwotę na zapłacenie długów naszych, jako też że wyśle wkrótce takową do Oehringen, na moje ręce. Oznajmiłem natychmiast tę wieść radosną méj towarzyszce więziennéj, która na znak zadowolenia, poraz pierwszy w czasie dwumiesięcznego aresztu, zaśpiewała mi cudną i wesołą arję. List ów ucieszył mię tak niezmiernie, że czuję jakobym odżył w téj chwili, lub poraz drugi na świat się narodził; spraw miły Boże, by nie zawiodła mię owa nadzieja i abym jak najprędziéj rodzinną mógł zobaczyć ziemię!

XXXVI.

W Romanowie, majątku dziedzicznym Antoniego J.... starosty Cudnowskiego, w dniu 13 czerwca 1784 jako na uroczystość patrona gospodarza, zjechało się mnóstwo sąsiadów i z dalszych okolic gości, pomiędzy któremi znajdował się też wielki przyjaciel tego domu stolnik Szwejkowski i zięć jego porucznik Wąsowicz, o którego romantycznych przygodach wzmiankowaliśmy już powyżej. Nim przystąpiemy do opisu towarzystwa znajdującego się na uroczystości imienin w Romanowie, wypada pierwéj przytoczyć niektóre szczegóły dotyczące się osób, znanych już z poprzedniego opowiadania. Porucznik Wąsowicz wyczerpawszy rozmaite środki w celu nakłonienia ojca swej żony do pojednania, powziął nakoniec myśl szczęśliwą, ażeby postarać się o protekcję starosty Cudnowskiego, który był zdawien dawna najserdeczniejszym przyjacielem Szwejkowskiego, dla pewnejszego zaś skutku, uprosił księdza proboszcza miejscowego, ażeby wstawił się za nim do kolatora. W dniu umówionym z proboszczem, kiedy starosta sam jeden tylko znajdował się w domu, przyjechał porucznik Wąsowicz do Romanowa, wstąpił najprzód na plebanję, ztamtąd zaś wraz z księdzem udał się do dworu, wyznał z pokorą jako obraził srodze ojca żony, przez uwiezienie córki i samowolne jej zaślubienie, ale opłakując ten błąd młodości, pragnie teraz przebłagać zagniewanego stolnika, dla tego więc zaklina starostę, jako serdecznego i najstarszego z przyjaciół swego teścia, ażeby nie odmówił mu protekcji i przemówił za nim łaskawe słowo w téj sprawie. Obecny ks. proboszcz poparł prośbę Wąsowicza ze stanowiska religijnego, oświadczył, że jakkolwiek wykroczył srodze przeciwko dobrym obyczajom, uwożąc potajemnie z rodzicielskiego domu córkę, jednak po spełnionym już czynie i zawarciu prawnego związku, niegodzi się rozłączać go z żoną, że odwet taki ze strony stolnika nie zgadza się z charakterem dobrego ojca i chrześcianina, nakoniec, że każdy z istotnych przyjaciół powinien go nakłonić do aktu pojednania, który mu powróci spokój sumienia, córce zaś jego zapewni utracone szczęście. Starosta Cudnowski wysłuchawszy prośby porucznika i przełożeń proboszcza, przyrzekł swoją protekcję, nie ręcząc jednak wcale za dobry skutek, wiedział bowiem że przyjaciel jego Szwejkowski srodze był zawzięty przeciwko Wąsowiczowi i pomimo licznych starań i zabiegów, nie chciał go przyznawać za zięcia. Wziął on jednak do serca rzeczoną prośbę bo zaprzyjaźniwszy się już od lat wielu z domem Szwejkowskiego, ubolewał nad losem jego córki i nie jednokrotnie wstawiał się za nią, skoro ojciec w pierwszéj chwili gniewu zamyślał ją wydziedziczyć i odsunąć na zawsze od swego oblicza; sądził że teraz po upływie znacznego przeciągu czasu od chwili popełnionego błędu, nastaje stosowna pora do traktowania w téj sprawie i zmiękczenia rodzicielskiego serca. Starosta nie zapraszał stolnika do Romanowa, znając podejrzliwość jego, oczekiwał aż sam Szwejkowski, stęskniony za przyjacielem, zawita nakoniec do jego domu. Stało się jak przewidział starosta; skoro opadły wiosenne wody w końcu miesiąca Kwietnia, przyjechał stolnik do Romanowa, z oświadczeniem głębokiego żalu, że przez cały czas zimy nie oglądał przyjaciela i żadnéj od niego nie odbierał wiadomości. Starosta według dawnego zwyczaju kazał przynieść z piwnicy najlepsze wino i wypił jego zdrowie z sążnistego puharu, ale skoro stolnik takąż samą odpowiedział mu miarą, rzekł doń z uśmiechem:

— Dawno nie widziałem cię stolniku, choć ciężyło mi to na sercu, bo chciałem się przekonać czy długi czas rozłączenia nie wyrugi je przyjacielskiego affektu, jakoż wyznam szczerze, że powątpiewam nieraz o stałości sentymentów wacpana...

— Co słyszę? wacpan mi mówisz, że napróżno od lat tak wielu tytułujesz się moim przyjacielem.... gdybyś bowiem był nim w istocie, czybyś mógł powątpiewać o mojéj szczerej przyjaźni.

— Hola! mości stolniku! choć byłem i jestem zawsze wacpana przyjacielem, nie mogę być przeto ślepym i niewidzieć pewnych okoliczności, które mi każą powątpiewać o jego szczerym affekcie; słowem wytłomaczę się krótko i jasno: jesteś ojcem i masz jedynaczkę córkę, za którą dawno już wnosiłem instancją, jako ojciec do ojca i przyjaciel do przyjaciela, ażebyś miał wzgląd na jéj młode lata i dozwolił jéj żyć z mężem, którego ona sama wybrała....

— Mości starosto. chcesz widzę pomiędzy mną a córką stanąć w charakterze sędziego?

— Uchowaj Boże, bym chciał być sędzią w onéj sprawie, ale rozumiejąc wielką tęsknotę, która pochodzi z nieoglądania przyjaciela, domyślam się też, jak silna boleść być musi w sercu téj niebogi, która chcąc być posłuszną ojcowskiéj woli, siedzi zamknięta jak w klasztorze i pozbawiona jest widoku najserdeczniejszego przyjaciela, który równie jak ona opłakuje błąd młodości i radby u stóp rodzicielskich wyżebrać przebaczenie....

— Imcipan Wąsowicz zapóźno udaje się w pokorę, bo tak był zatwardziały w swéj zuchwałości, że wolał gwałt zadać memu domowi, niż prosić mię o jéj rękę.

— Błąd to wielki, przyznaję, ale ukarałeś już ich dostatecznie stolniku, teraz zaś, kiedy zięć i córka odwołują się do twéj ojcowskiéj łaski, nie powinieneś odpychać ich od siebie. Tak jest, mości stolniku, jeżeli zachowujesz dotąd rodzicielski affekt dla córki, a sentymenta przyjaźni dla mnie, musisz przystać na moją medjację i przypuścić skruszonego zięcia do ucałowania twéj ręki i przebłagania za popełniony występek.

Stolnik zwiesił ponuro głowę i dopiero po upływie chwil kilku odpowiedział na przełożenie starosty:

— Mówisz jak ksiądz, starosto i skruszyłeś mię twém kazaniem.... powiem Zosi, że jéj dozwalam żyć z mężem a nawet pobłogosławię im na drogę, choć wyznam szczerze, że nie chcę ażeby łotr ten upokarzał się dziś przedemną, lub błagał o przebaczenie, bo jedynie tylko dla affektu córki zgadzam się na ich połączenie.

— Więc zgoda! zawołał uradowany starosta, przekonałeś mię teraz stolniku, że jesteś dobrym ojcem i przyjacielem. Wypijmy za zdrowie téj młodéj pary, niechaj im Bóg poszczęści w jak najdłuższe lata! To powiedziawszy, nalał starosta wina w puhary, które wychylili duszkiem, potém oburącz objął stolnika i uściskali się serdecznie. Stary Szwejkowski rozrzewniony tym uściskiem wyrażał mu najgorętsze affekta, pił z nim do późnéj nocy, a kiedy rozmarzony ochotą gospodarz udał się na spoczynek, starosta wyprawił z wesołą wieścią posłańca do Wąsowicza, który znajdował się w pobliżu, w sąsiedztwie, i oczekiwał z niespokojnością na wiadomość o skutku odwiedzin stolnika. Nazajutrz równo ze świtem przyjechał porucznik do Romanowa; jeszcze Szwejkowski spoczywał w łóżku, kiedy w towarzystwie gospodarza i księdza proboszcza, wszedł zięć winowajca do jego pokoju, ukląkł ze skruszonem obliczem i prosił o przebaczenie. Stolnik ofuknął go z razu, wołając: Nachodzisz mię wacpan tak rano i niepotrzebnie reprezentujesz tę komedję, udana to jest pokora mospanie, jako onego zdybanego na uczynku wilka, skoro zakrada się do komory. Porwałeś mi moją Zosię, dziś znów chcesz ją odebrać z rąk moich, wiem o tém dobrze, a gwoli jej chęciom i instancjom przyjaciół, zgadzam się już na połączenie wasze, choć nie mogę zapomnieć wacpanu szalonej jego *im-*



Oznajmiłem natychmiast tę wieść radosną méj towarzyszce więziennéj.

prezy, która takim wstydem i hańbą zatruła moje stare lata.

Skoro w tych słowach wynurzył stolnik żal swój do zięcia, który ciągle klęczał ze zwieszoną głową przed jego łóżkiem, gospodarz domu i ksiądz proboszcz wstawiali się za nim i prosili ażeby miał wzgląd na szczery żal winowajcy i ojcowską udarował go łaską, bez któréj nie może się spodziewać błogosławieństwa i szczęścia w pożyciu z żoną. Wahał się stolnik długo z wyrzeczeniem przebaczenia, ale w końcu uległ przedstawieniom przyjaciela i księdza, więc podniósł rękę i rzekł poważnie do zięcia: Pamiętaj, że jedynie tylko z rodzicielskiego affektu dla Zosi, przebaczam ci twój haniebny postępek, a nawet całkiem zapomnę urazy, bylebyś żył z nią poczciwie, jak przystało zacnemu szlachcicowi i pobożnemu katolikowi.

Uradowany porucznik uściskał nogi teścia, z którym bawił jeszcze dzień cały w Romanowie, następnie pojechał wraz z nim po żonę, która odebrawszy nagle wieść tak niespodzianą, odurzona była przez pewien przeciąg czasu, śmiała się lub zanosiła od płaczu, pod wpływem niezwykłego uczucia radości, które spłynęło na nią po latach osamotnienia i troski.

Pośrednik w sprawie pomiędzy teściem a zięciem, starosta Cudnowski, posiadacz znacznéj fortuny, żył w ścisłéj zażyłości z magnatami i szlachtą, zawołany myśliwy, ochoczy do pijatyki i zabawy, skory przy tém do wyświadczenia przyjacielskiéj usługi, pozyskiwał łatwo serca obywateli, którzy zazwyczaj w dnie uroczyste imienin gospodarza, żony jego lub córki, zjeżdżali się licznie do jego domu, który słynął z wystawy i gościnności. Owóż w dniu św. Antoniego przyjechał najprzód do Romanowa stolnik Szwejkowski, za nim zięć jego Wąsowicz z żoną, później nieco Stempkowski wojewoda kijowski z córką Honoratą Lubomirską, z liczną kawalkatą dworzan, jednocześnie sędzia Adam Bukar i Załuski kasztelan Buski, daléj Falkowski skarbnik Łucki, z nim zaś znajomy nasz kapitan Turski świeżo przybyły z podróży, nakoniec liczne grono drobniejszej szlachty, która dla towarzystwa tych panów lub złożenia hołdu staroście, zgromadzała się w dnie uroczyste w jego domu. Kapitan Turski, dawny znajomy starosty, otrzymawszy w Oehringen od ks. Marcina pieniądze i wyzwoliwszy się z aresztu, wrócił dopiero przed miesiącem do kraju, wraz z innemi towarzyszami i śpiewaczką, która wstąpiła do warszawskiéj opery. Ks. Marcin złożył już dowództwo regimentu, utrzymywał więc tylko w Lubarze straż nadworną złożoną z trzydziestu ludzi, których dowództwo powierzył chorążemu Trębalskiemu; zaś kapitan Turski oburzony na swego szefa za zawód i kłopoty, których doświadczył z jego przyczyny w Oehringen, podziękował mu za służbę i osiadł czasowo w domu przyjaciela i powinowatego skarbnika Falkowskiego, z którym, jak wspomnieliśmy wyżéj, przyjechał na uroczystość imienin Cudnowskiego starosty. Jak kapitan Turski, również porucznik Wąsowicz zerwał stosunki przyjazne z ks. Marcinem, nieporozumienia zaś tego były następujące przyczyny: Po wyjeździe ks. Marcina za granicę, niektórzy z jego wojskowej załogi korzystając z długiéj nieobecności pana, utworzyli zbójecką bandę, napadali i rabowali okoliczne włości; Stempkowski wojewoda kijowski, zaniósł skargę na porucznika Wąsowicza, jako postawionego z ramienia księcia zwierzchnika w Lubarze, za gwałty, których się dopuszczają żołnierze tamecznej załogi. Wąsowicz w celu zwolnienia się od odpowiedzialności, tłumaczył się jako przyjąwszy obowiązek zawiadywania interesami ks. Marcina, musiał popierać sprawy jego w trybunale Lubelskim, a zatem znajdował się za domem, podczas kiedy rzeczeni żołnierze dopuszczali się gwałtów w okolicach Lubaru; tłomaczenie Wąsowicza uznano za słuszne i sprawa do powrotu księcia zawieszoną została. Natychmiast po powrocie ks. Marcina, porucznik stawił się przed nim, oświadczając że zrzeka się obowiązku zarządzania jego majątkiem, ma bowiem na głowie własne interesa, których dopilnować musi, zresztą nie chce być odpowiedzialnym za niekarność żołnierzy i gwałty, których się dopuszczają przez pijaństwo i swawolę. Stempkowski wojewoda kijowski, znany czytelnikom z poprzedniego opowiadania, najdostojniejszy z pomiędzy gości składających towarzystwo w domu starosty, nieprzyjazny oddawna zięciowi swemu ks. Marcinowi, stał się w obecnéj chwili jednym z największych jego wrogów. Ojciec księżny Honoraty, zimny samolub, kochający się tylko w pieniądzach i zbytkach, nie żałował kosztów na utrzymanie wystawnego dworu, ale skąpy był dla własnéj córki, która użala się w listach do przyjaciół, że żadnéj nie chciał jéj dać wyprawy i że nawet łóżko i pościel mąż jéj musiał sprawiać; łatwo też ochłonął wojewoda w przyjaźni dla zięcia, skoro przewidział bliską ruinę jego majątku, ani też nie baczył na naganny postępek córki, która pod wpływem romansowych wrażeń rozłączyła się z mężem; rad był owszem do skutku doprowadzić rozwód jaknajprędzéj, ale stał na przeszkodzie upór ks. Marcina, który jakkolwiek szukał ciągłych a nowych wrażeń i nie grzeszył zbytnią miłością dla drugiej żony, oświadczył jednak stanowczo, że na rozwód nie zgodzi się wcale. Rzeczone postanowienie męża, kłopotało wielce księżnę Honoratę i jéj ojca, który przemyśliwał o innym, korzystniejszym dla niéj związku.

Wspomniawszy już o osobach połączonych niegdyś związkami krwi lub przyjaźni z ks. Marcinem, przypatrzmy się teraz całemu towarzystwu, które w tym dniu uroczystym za-

siadło przy uczcie, obok dwóch ogromnych stołów, uginających się pod ciężarem zastawionych półmisków, cukrowych piramid i pucharów.

Wymienione z nazwisk powyżej osoby, zasiadły wraz z gospodarstwem przy jednym stole, w gronie tém znajdował się też miejscowy ksiądz proboszcz, obok drugiego stołu mieściła się drobniejsza szlachta i dworzanie wojewody. Według godności i starszeństwa zajmowali goście wyznaczone im przez gospodarza miejsca, obok wojewody Stempkowskiego siedział Załuski kasztelan Buski, jeden z najgorętszych wielbicieli księżny Honoraty, która korzystała z miłego sąsiedztwa i żywą prowadziła z nim rozmowę, dalej stolnik Szwejkowski z żoną, sędzia Bukar, Wąsowicz z żoną, obok której siedziała córka Cudnowskiego starosty ośmnastoletnia Brygida, dalej Falkowski skarbnik Łucki, ks. proboszcz, kapitan Turski i młody syn gospodarza Józef. Jakkolwiek niezbyt liczne grono, pomienionych osób, przedstawiało na pierwszy rzut oka dziwną mieszaninę charakterów i obyczaju, które to cechy wyrażały się dobitnie nietylko w rozmowach, ale nawet w powierzchowności w rysach i wyrazie ich twarzy. Gospodarz z żoną siedzieli w sąsiedztwie wojewody, on wymyślał różne toasty w celu rozochocenia gości, ona starała się zabawiać rozmową dostojnego sąsiada, który pomimo często spełnianych kielichów zdawał się być pochmurny i zamyślony, kiedy przeciwnie kasztelan Buski, jakkolwiek niemłody już kawaler, niezmiernie wesoły i ożywiony, wpatrywał się z uśmiechem w swoją sąsiadkę, która następującą wiodła z nim rozmowę:

— Przyznaj kasztelanie, że nudzisz się na wsi, w naszém towarzystwie i że chciałbyś jak najprędzej powrócić już do Warszawy?

— Nie spodziewałem się, że tak skorą będziesz do posądzenia mnie o to, mościa księżno, bo zdaje mi się, że dowiodłem przyjeżdżając do Łabunia, że umiem dotrzymywać danego słowa i że wysoko cenię towarzystwo i względy osoby, która przyjaznym natchnęła mię sentymentem.

— Posądzam cię o to, czego sama doświadczam na wsi tak często! Ludzie ze znajomością świata i edukacją, którzy jak ty kasztelanie zakosztowali powabów europejskiego życia w Paryżu i Wiedniu, czyż mogą przywyknąć do wiejskiego naszego towarzystwa, które jakkolwiek zreformowane jest już w części, jednakże w ogóle, jest strasznie jeszcze nieokrzesane i dzikie.

— Istotną prawdę mówisz, księżno, życie wiejskie u nas bardzo trąci staroświeczczyzną, a kto poznał towarzystwo wielkiego miasta, nie ma wcale ochoty do tego patrjarchalnego obejścia, w którem lubuje się jeszcze dotąd nasza zaściankowa szlachta. Ależ i na wsi, księżno, zdarzają się wyjątki, mamy już wiele wspaniale urządzonych dworów, w których po zgiełku i kurzu miasta miłą można znaleść dywersję. Otóż protestuję najprzód co do Łabunia, w którem nietylko nie doświadczałem ani jednej chwili nudów, ale przeciwnie, przekonałem się że i wiejska rezydencja może być arcyprzyjemną, zwłaszcza jeżeli jest ożywiona przytomnością osoby, która wdziękiem twarzy i delikatnością sentymentów przewyższa o wiele inne, a jest najpryncypalniejszym ornamentem każdego miejsca.

— Jeżeli szczerze mówisz kasztelanie, zatrzymaj się jeszcze w Łabuniu, inaczej bowiem ostatnie twoje słowa uważać będę tylko jako zwyczajny komplement.

— Zgoda, przez tydzień jeszcze zabawię w Łabuniu, choć powtarzam że mam ważne interesa do załatwienia w Warszawie, ale zastrzegam na przyszłość, ażebyś nie powątpiewała nigdy, mościa księżno, o wiarogodności słów moich.

— Wierzę ci i dziękuję kochany kasztelanie, że więcéj cenisz opinię moją, niż interesa własne, rzadki to jest dowód galanterji i przekonaną jestem, że będziesz wzorem mężów, jak dziś za przykład posłużyć możesz dla kawalerów.

— Nie sądź kochana księżno, bym wyjechawszy z Łabunia zapomniał choć na jedną chwilę o tobie; portret twój tak wyryty jest w mojéj pamięci, że zatrzeć nie może go wcale odległość miejsca lub czasu.

Kiedy kasztelan oświadcza się w tych słowach sąsiadce, pomiędzy starostą Cudnowskim a stolnikiem Owruckim zawiązała się rozmowa, która zwróciła uwagę innych przytomnych osób i Załuskiego, który przyjął w niéj udział.

— Dziwi mię mocno, rzekł gospodarz, że imcipan Tadeusz Niemierycz, nie przyjechał dziś do Romanowa, pewny jestem, że jakaś ważna musiała zajść przeszkoda.

— W istocie, nasz podkomorzy zakłopotany jest wielce, z powodu zuchwalstwa siostrzeńca swej żony imcipana Trypolskiego, który powróciwszy świeżo z zagranicy, dopomina się u opiekuna, aby mu złożył rachunki i oddał majątek, odrzekł Szwejkowski.

— Józef Trypolski ma najzupełniejszą rację, podchwycił kasztelan Buski, jako już pełnoletni powinien być wypuszczony z opieki, a nawet może pozwać opiekuna, jeżeli dobrowolnie nie zechce mu oddać majątku.

— Wiem, odparł Szwejkowski, że według artykułu prawa z dojściem do pełnoletności kończy się opieka, ale imcipan Trypolski zapomniał o respekcie winnym wujowi i rodzonej ciotce, miasto podziękować za pieczołowitość krewnych, zaufany w swym zagranicznym

rozumie, zaczął im wyrzucać zuchwale, że z krzywdą jego rządzą majątkiem, jako też dopominał się hardo o oddanie mu dziedzictwa i przedstawienie rachunku.

— Jeżeli słusznie dopomina się imcipan Trypolski o zwrot jego własności, nic w tém nie widzę zdrożnego, wdzięczność wdzięcznością, a interes interesem; poznałem tego młodzieńca w Paryżu i wyznam szczerze, że podobał mi się wielce, jest miły, układny i grzeczny, przy tém uczony i oczytany, jak niewielu z naszej młodzieży....

— Znamy tę naukę kasztelanie i wiemy z jakiego ona pochodzi warsztatu, uchowaj nas Boże od téj mądrości, co to bierze początek w kuźni najstarszego lucypera, a zowie się u nas farmazonią.

Kasztelan Buski uśmiechnął się litościwie i rzekł nachylając się ku stronie Szwejkowskiego:

— Wybacz mi mości stolniku, ale wyznam ci szczerze, że bez owej, jak ją zowiesz, zagranicznéj mądrości, nigdy nie nabędziemy prawdziwego światła, które rozegnać powinno tysiączne nasze zabobony i głupstwa.

— Uchowaj nas Boże od téj zarazy i od owego Wolterowskiego światła, które niestety! oślepiło już u nas tak wielu.

— Zajechaliśmy bardzo daleko, mości stolniku, zaczęliśmy mówić o imcipanu Józefie Trypolskim i jego sprawie a teraz dotykamy już Woltera, wracam się więc do pierwszego argumentu i utrzymuję że imcipan Niemierycz postępuje nieprawnie wcale, skoro nie oddaje dziedzictwa pełnoletniemu siostrzeńcowi swemu.

Wszyscy słuchali uważnie téj rozmowy, kiedy zaś skarbnik Łucki wymienił słów kilka z sąsiadem swym kapitanem Turskim, tenże zabrał głos w następujących słowach: Widzę że wszyscy waszmość panowie jesteście w błędzie, bo nie wiecie o wielkim gwałcie, który stał się w dniu onegdajszym, za nagabaniem złego ducha, w Trypolskiego majątku. Nie znałem dawniéj wuja ani też jego siostrzeńca, nie myślę więc rozwodzić się nad tém jakie tam było przeszłe życie ich i kto pierwszy do sporów podał okazję, opowiem tylko co dowiedziałem się od ludzi, którzy byli naocznemi świadkami owéj fatalnéj akcji. Imcipan Józef Trypolski, skoro naprożno i długo tentował u wuja, ażeby mu oddał majątek, zajął go samowolnie przy pomocy własnych poddanych; dowiedziawszy się o tém małżonkowie Niemieryczowie, poprzysięgli siostrzeńcowi śmiertelną nienawiść, największym wybuchła gniewem imcipani ciotka, wzywała go i odgrażała mu się listownie, nakoniec idąc za radą imcipana Henryka Niemierycza, Tadeusz i Małgorzata Niemieryczowie zebrawszy do dwóchset zbrojnych kozaków, postanowili zmusić siłą siostrzeńca, do posłuszeństwa swym rozkazom. Pani z przyrodzenia zła i popędliwa, podżegana jeszcze namową krewnego męża, reprezentowała obraz piekielnéj furji, nieubłagana jak Junona, ale odważna jak amazonka, dosiadła konia i towarzyszyła mężowi, jadąc tuż obok niego, na czele zbrojnych kozaków. Imcipan Józef Trypolski dowiedziawszy się o nieprzyjacielskiéj wyprawie wuja i ciotki, przygotował się do obrony, wyprowadził w pole strzelców i poddanych uzbrojonych w rusznice, a skoro zbliżyły się wrogie oddziały, bój rozpoczął krwawy. Imcipani ciotka więcéj od męża okazała się być pyszną i zatwardziałą, on bowiem chciał już wysyłać parlamentarza do siostrzeńca, ale ona, nieubłagana białogłowa, nie dozwoliła mu pierwszego uczynić kroku, reprezentując że hardy jéj siostrzan powinien sam błagać o przebaczenie. Bitwa ciągnęła się kilka godzin, z téj i z owéj strony padło kilkudziesięciu trupem i rannych liczyli wielu, aż w końcu padł ugodzony śmiertelnie kulą, młody Józef Trypolski. Taki tragiczny był koniec onéj fatalnéj *imprezy*.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

NOWE WULKANY

na archipelagu greckim.

(Streszczenie ze sprawozdania członka kommissji naukowéj francuzkiéj).

„Dotąd literaci, a z pomiędzy nich szczególniéj poeci, opisywali płomienie mówiąc o wybuchach wulkanów, lecz dla uczonych istnienie płomieni w wulkanie czynnym było bardzo wątpliwém. Wybuch w zatoce Santorynu daje obecnie słuszność poetom przeciw uczonym". Tak się wyraża pan Fouqué jeden z członków kommissji, wysłanéj w tym roku przez paryzką Akademją nauk, na Archipelag grecki, w celu zbadania wydarzonych tam zjawisk. Już od 1865 roku wulkany Środziemnego morza pozostają w niezwykłém wzburzeniu. Etna całe pięć miesięcy wyrzucała lawę i potoki wodnéj pary, obciążonéj różnemi materjami lotnemi. Z Wezuwiuszu ciągle buchał dym i dawały się słyszeć huki straszliwe, lecz w oko-

licach Santorynu na trzech wysepkach formacji wulkanicznéj nazwanych *Kameni* (spalone) od sto pięądziesięciu lat cisza prawie zupełna panowała. Jedyną oznaką mogącą rzucać domysł zbliżających się nowych zjawisk wulkanicznych, były szczególne wyziewy na południowym wybrzeżu wysepki *Nea Kameni*. Tam woda morska ciągle się burzyła, przybierała żółtawo zielony kolor, niekiedy nawet przechodziła w barwę żółto-czerwoną, pod wpływem wiatrów południowo-wschodnich. Rozpuszczanie się soli żelaza, było zapewne przyczyną tych anormalnych zafarbowań. Że zaś ciągle trwające wyziewy gazu siarko-wodorodnego okazały się śmiertelne dla zwierząt i roślin przybywano tam z okrętami, aby oczyścić ich spody od mięczaków i roślin morskich, które się po trzech dniach pobytu truły w téj wodzie, działającéj jednak zbawczo na zdrowie ludzkie i mieszkańcy Santorynu zjeżdżający tu co lato na kąpiele, zbudowali szereg domów, nad niedawno urządzonym bulwarkiem. Stanęły nieco dalej od morza dwa kościoły: grecki i katolicki i *Nea Kameni* mogła sobie świetną rokować przyszłość, gdy nadszedł miesiąc Styczeń roku bieżącego. Już goście kąpielni dawno się rozjechali i dla pilnowania opuszczonych domów, jedna tylko pozostała rodzina strażnika. Ten wyszedlszy 30 Stycznia zrana przed dom, zdziwił się, zobaczywszy dach jego z betonu pęknięty w poprzek. Pomyślał zrazu, że to pochodziło ze złego budowania, lecz gdy obejrzawszy inne domy, znalazł je wszystkie mniéj więcéj popękane, gdy z zagasłego krateru, który się wznosił około sto metrów nad morzem, ujrzał pospadałe odłamy kamieni aż pod progami mieszkań, wniósł, że w nocy miało miejsce trzęsienie ziemi. Wkrótce jednak, nieczując żadnych wstrząśnień dostrzegł, że szpary domów coraz bardziéj się rozszerzają. Przy końcu dnia budynki najbliższe zatoki *Voulcano* groziły już upadkiem, olbrzymie odłamy kamieni odrywały się z brzegów krateru, nakoniec głuche huki, ktore zdawały się wychodzić z łona ziemi, przeraziły całą tę rodzinę, która pierwsza była świadkiem wybuchu.

Następnego dnia huki i wstrząśnienia dały się słyszeć jeszcze straszliwsze, zatoka zdawała się doznawać wpływu ogni podziemnych, podniosła się znacznie temperatura wody i wydobywająca się niezliczona ilość bąbli gazowych nadawała jéj pozór wrzenia; woń gazu siarkowodorodnego stawała się nieznośną, widoczném było że grunt obniża się, wolno ale ciągle. Strażnik z rodziną w najwyższym zostawali niepokoju; nieopuścili jednak mieszkania, gdy zaś w nocy zaczęły huk i i wstrząśnienia wzrastać, drżeli na myśl że mogą być zasypani zwaliskami swego domu, a skoro nad ranem zobaczyli płomyki, które zdawały się z morza wychodzić, nie posiadali się już ze strachu i wsiadłszy w czółno odpłynęli do *Santorynu*; tam wzbudzili przestrach ogólny w mieszkańcach, którzy przypuścili że nie tylko *Kameni* ale i ich wyspa zatopioną być może. Jedni zaczęli zabierać się do wyjazdu, drudzy odsyłali do *Syry* to co mieli najdroższego, a byli i tacy co własnemi oczami oglądać chcieli zjawisko i popłynęli do *Nea Kameni*. Między niemi był *Dr Decigalla*, któremu nauka zawdzięcza ważne spostrzeżenia nad postępem wybuchu; notował on dokładnie podnoszenie się temperatury wody morskiéj i niezmiernie wydatną jéj barwę czerwonawą, oraz wywiązywanie się gazów. Zauważył także utworzenie się czterech małych jeziorek słodkiéj wody, u stóp dawnego krateru *Nea Kameni*, w miejscu utworzonem z nagromadzenia skał wulkanicznych, w którem nigdy śladu źródła nie było. Nad wieczorem dostrzegł także płomienie widziane poprzedniéj nocy, a na wschodnim brzegu zatoki, ziemia na kilka metrów opadła i woda z morza wpływała już do niektórych domów. Był to jednak wstęp tylko, dopiero 3 lutego pokazała się nad powiérzchnią morza w zatoce *Voulcano*, skała utworzona z massy lawy żarzącéj, zdająca się wychodzić z łona ziemi, któréj szczątki popychała przed sobą. Podczas dni kilku powiększanie się téj skały odbywało się najregularniéj, lecz tak szybko, że widać było jak rosła w oczach. Widocznie rozpadło się w tem miejscu dno morza, a potok lawy wychodząc ze szczeliny zastygał przy zetknięciu się z wodą. Po dwóch dniach wysepka miała już 70 metrów długości, szerokości 30, a 10 wysokości; wychodzące z jej szpar żółtawe płomienie nadawały jéj pozór palącego się stosu. Ponieważ wypadek ten nie sprowadził żadnéj katastrofy, uspokoili się mieszkańcy Santorynu, a siadając nad brzegami morza, rozprawiali nad tem, jak nazwać nowo narodzoną wyspę. Zaproponowano nazwisko *Jerzy* od imienia młodego monarchy; imie to zostało przyjęte, chociaż król twierdził że jego charakter spokojny i rola konstytucyjnego monarchy nie pozwala mu być ojcem chrzestnym wulkanu.

Podczas kiedy z jednéj strony wulkaniczne zjawiska odbywały się tak spokojnie, inny przedstawiał się obraz na brzegu południowo-zachodnim téj wyspy; 8 Lutego woda morska była bardzo gorąca i zafarbowana mocno na kolor żółto-zielonawy, wydzielała się z niéj wielka obfitość gazów; następnego dnia woda nagle zawrzała, duże bąble gazu pękały na jéj powierzchnia, z pod spodu, wyrzucane były kawałki lawy zastygłéj.

Trzynastego lutego ukazała się w odległości 50 metrów od brzegu, nowa wysepka, którą członkowie kommissji naukowéj greckiéj przezwali Aphroessa, od imienia statku na którym przybyli. Do dwudziestego lutego nic ważnego nie zaszło; obie wyspy przez ten czas powiększyły się znacznie. O świcie członko-

wie kommissji wysiedli na brzeg wraz z narzędziami swemi, dla robienia postrzeżeń. Różne, niezwykłe zjawiska, kazały im się domyślać, że wkrótce zajdzie tu coś nadzwyczajnego. Temperatura wody przy brzegu podniosła się do .85 stopni, to jest o dziesięć wyżéj od dnia poprzedzającego. Wielkie kłęby pary buchały ze świstem w powietrze, a podziemne huki straszne i przeciągłe, coraz gwałtowniéj słyszeć się dawały. W około miejsca wybuchów, siarkowe wyziewy powiększały się coraz bardziéj. Mimo to członkowie kommissji, nie odstąpili od badań swoich. Jeden z nich p. Palaska pozostał nad brzegiem morza, dla dokonania kilku sprawdzeń pod względem geodezji, czterech innych zaczęło się drapać na wierzchołek zagasłego krateru Nea Kameni, dla przypatrywania się całości zjawiska. Doszli tam o 9 godzinie zrana, dostrzegając świeżo porobione rozpadliny, z których wymykała się para wodna, przesycona gazem siarko-wodorodnym, a nowe wysepki Jerzego i Aphroessa dostrzegli w stanie wielkiego wzburzenia. Zabrali się jednak do roboty; jeden mierzył wysokość barometru, dwaj inni zasiadłszy na złamach kamieni, rysowali lub notowali, to co się odbywało przed ich oczami. Naraz usłyszeli niby wystrzał straszliwy. Gęste kłęby czarnego dymu kręcąc się w około nich, przez czas jakiś światło dzienne im zakryły. Kilka sekund późniéj posypały się na nich chmury popiołu i grad żarzących kamieni; zaczęli uciekać ku północnemu zachodowi zostawując mappy i papiery, lecz nie ustawało niebezpieczeństwo, dosięgała ich bowiem ognista ulewa i póki pozostawali odkryci, śmierć im groziła nieochybna. Każdy z nich zatem usiłował znaleść schronienie pod złamami kamieni, leżącemi w około dawnego krateru. Znaleźli skały pochylone, pod któremi ukryć się mogli, lecz jeden z nich p. Christomanos nie mógł natrafić na nic lepszego, jak na jakiś kawał popękanéj opoki, pod który zaledwie głowę schronić zdołał; reszta jego ciała pozostała wystawiona na ognistą ulewę, i chociaż miał szczęście, że żaden z większych kamieni nie padł na niego i nie zdruzgotał mu kości, to jednak został raniony w kark i zapaliła się na nim odzież. W około niego wszystko gorzało; paliły się zarośla i suche zielska, a wyrzucony wysoko kamień ogromny, rozprysł się jak bomba na skale, pod którą on głowę schował. Ranny i potłuczony musiał biedz wśród płomieni, aby bezpieczniejszego poszukać schronienia. Dostrzegł nareszcie jakies wydrążenie w skale i tam mógł się ukryć podczas drugiego jeszcze straszniejszego wybuchu. Potem wyszedłszy z kryjówki biegł daléj i zsuwając się ze wzgórza po którem dla ostrych kamieni, chodzić nigdy nie było podobna, stanął nad brzegiem morza z odzieżą poszarpaną, z poparzoném ciałem, z bosemi i zakrwawionemi nogami, Towarzysze jego wpierw przybyli, nie wiele w lepszym stanie, oczekiwali niespokojni na powrót statku z Santorynu; ten bowiem, który pozostał u brzegu, został przedziurawiony przez spadające kamienie. Parowiec którym przybyli został także uszkodzony, towarzysz ich p. Palaska, co nad morzem pozostał, miał mocno zranioną rękę, a kapitan, niedawno przybyłego, kupieckiego statku, od uderzenia kamienia poniósł śmierć na miejscu.

W Marcu przybyli francuzcy uczeni i niewieleby byli zasięgnęli wiadomości od mieszkańców Santorynu, którzy w przerażeniu rozjeżdżali się na wszystkie strony, gdyby nie statek wojenny austryjacki *Reka*, który się zatrzymał parę tygodni na tych wybrzeżach, a offcerowie jego pilnie śledzili postępy wybuchu.

Daléj pan Fouqué opisuje stan, w jakim znaleźli wyspę. Domy prawie wszystkie w gruzach, lub mocno popękane, nowo zbudowany bulwark zalany i zerwany w kilku miejscach, oba kościoły z dachami podziurawionemi od kamieni, w katolickim zaś nawet ołtarz zdruzgotany, drogi zawalone olbrzymiemi bryłami lawy, wyrzuconemi, jak się zdawało w stanie ciastowatym, gorącym, a zastygłemi późniéj dopiero. Obszedłszy wyspę Jerzego z narażeniem życia, wśród duszących wyziewów, po rozpalonéj jeszcze lawie, wstrząsanéj podziemnemi zaburzeniami, uczeni francuzcy wsiedli na statek dla opłynięcia wyspy Aphroessa, która rozciągała się od północy ku południowi, na długość dwustu pięddziesięciu metrów, cała utworzona z czarnéj, szklistéj lawy, wyglądającéj na szkło czarne. Podczas gdy płynęli kanałem, duże bąble gazu uderzały o spód ich statku, robiąc hałas przypominający bębnienie. Para z rozgrzanéj wody powstała dusiła ich, nic prawie widzieć nie dozwalając. Gdy tak okrążali wyspę, dostrzegli naraz wysepkę, któréj jeszcze wilją nie było. Nazwali ją *Reka*, na cześć austryjackiéj korwety, któréj oficerowie wielce im się w badaniach przysłużyli.

Gazy palne wydzielające się z morza (mówi p. Fouqué), zajmowały się płomieniem przy zetknięciu z żarzącą się lawą. Raz wszczęty pożar, szerzył się łatwo po morzu; bąble stykając się z powietrzem paliły się i zapalały następnie jeden od drugiego. Zbliżywszy się, zapaliliśmy przy nich papier. Im się bardziéj ściemniało, tém się zwiększał blask ognia. Sole sodowe rozpuszczone w wodzie, mieszając się z palącemi gazami, nadawały płomieniowi kolor żółty (charakterystyczny odczynnik na sole sodowe), przy którym twarze nasze trupio blade się wydawały. Gdy tak łódź nasza szybko żeglowała wśród chmur pary wodnéj i przy drżącym blasku tych ogni, musieliśmy wyglądać na duchy pływające po wodach piekielnych.

Widać było także płomienie na wierzchołku i na bokach wyspy Jerzego. Wzdłuż boków były błękitnawe i ruchliwe, przenoszące się z punktu na punkt, jak błędne ogniki gasnące i zapalające się, według tego jak wiatr dął silniej lub się zmniejszał. Na wierzchołku porysowanym głębokiemi rozpadlinami nie tak wyraźnie dostrzedz je można było; buchał tylko gęsty dym czarny, oświecony odblaskiem żarzącéj się pod spodem lawy. Jednakże gdy wiatr te dymy odepchnął, a wulkan zawrzał na nowo, słychać było jakby dęcie wielkich miechów, a snop ognia na kilka metrów wysoki, kręcił się i podnosił po nad czarną wypukłością wzgórza.

Następnie p. Fouqué zdaje sprawę z całego przebiegu wybuchu, aż po koniec Maja, robiąc uwagę, że niepodobna dokładnie przewidzieć, jak długo objawiać się będą te wulkaniczne. wstrząśnienia, wnosi jednak, że weszły już w perjod stopniowego przycichania; kończy, przytaczając najnowsze teorje o wulkanach.

Wybuchy podziemnego ognia, zdają się być zjawiskiem pełnem zamieszania, obrazem chaosu, jednakże po ich zbadaniu widzimy, że podlegają prawom regularnym i niewzruszonym. Takim prawom podlega zawsze natura w swych najgwałtowniejszych wstrząśnieniach; w niej panuje ład wśród największego nawet zamętu. Jest to chwałą dzisiejszéj nauki, że umiała dostrzedz te zasady niewzruszone; przed pięćdziesięciu laty panowała jeszcze pod tym względem niewiadomość kompletna. Na początku bieżącego stulecia geolog włoski, Mario Gemollaro, wykazał pierwszy, że w każdym wybuchu, ziemia rozpada się zawsze w jeden sposób, przyjmując kierunek mniéj więcéj prostodrożny. W kilka lat Elie de Beaumont dopełnił tych spostrzeżeń, wykazując że wulkan jest tylko pęknięciem skorupy ziemskiej; koło tego pęknięcia powstają inne szczeliny promienisto się rozchodzące. Od tego czasu nie było wybuchu, żeby powyższych twierdzeń nie sprawdzono. Oprócz tych fenomenów mechanicznych, zwracają nadewszystko uwagę składy i rozkłady chemiczne, tak ważne i przemian pełne, że porównanie wulkanów do wielkich chemicznych laboratorjów, samo się nastręcza. Zauważono w każdym wybuchu cztery wyraźne periody, w każdym zaś przeważają stale te lub owe materje lotne. Według wyższéj lub niższéj temperatury, w różnych fazach wybuchu, rozkładają się te lub owe ciała i produkują gazy. Dawna teorja o wulkanach, która upadała z braku danych na jéj poparcie, odżyła teraz na nowo i potwierdziła się. Skoro uznano, że wnętrze ziemi jest gorące, a pod jéj wierzchnią skorupą istnieją roztopione ciała, uczyniono wniosek, że wulkaniczne wybuchy są małą ilością téj roztopionej massy, wyrzucaną przez szpary na powierzchnię. Domyślano się także, że uwięzione wody, zamieniały się w parę przez mocne rozgrzanie i wywierając silne parcie, stawały się działaczem rozdzierającym powierzchnię ziemi. Istnienie wulkanów w bliskości morza lub słonych jezior, a nadewszystko obecność chlorku sodu i kwasu chlorowodornego (solnego) w wulkanicznych wyziewach, spowodowała wniosek coraz bardziéj się potwierdzający, że woda we wnętrzu wulkanów krążąca, jest wodą morską.

Podnosi się tedy zasłona kryjąca tajemnicę najstraszniejszego wstrząśnienia natury. Olbrzymie siły spełniające te straszliwe we wnętrzu ziemi przewroty, burzące miasta, szerzące pożar i zniszczenie, podlegają tym samym prawom, co przemiany odbywające się w najskromniejszem laboratorium.

J. Dobieszewska (Śmigielska).

WSPOMNIENIE STANISŁAWA LESZCZYŃSKIEGO

W NANCY.

Szybkość podróży koleją żelazną, która sprawia, że każdy spieszy się, choć nawet spieszyć nie potrzebuje, nadto też powiększenie kosztów, jakie powoduje zatrzymywanie się w hotelach przy kolei położonych, gdzie wszystko wagą złota nieledwie się opłaca, oto przyczyny dla których podróże nie są dziś tak nauczające, tak pożyteczne dla umysłu, jakby być mogły. Dąży się zwykle dniem i nocą do jakiejś stolicy, do jakiego uprzywilejowanego kąpielowego zakładu, a mija się bezwiednie, czy bezmyślnie najbardziéj zajmujące miejsca, pod względem piękności natury, sztuki lub tych wspomnień, co to w sercu znajdują oddźwięk, lub wielkich, dziejowych faktów rozważaniem, umysł bogacą. Wyznaję, że ten rodzaj podróżowania bez odetchnienia, bez spojrzenia na bok, zupełnie nie odpowiada mojéj niepomiarkowanéj ciekawości przyjrzenia się wszystkiemu, co się tylko da widzieć i ocenić, dla tego też do Paryża i Londynu nie jechałam, jak to mówią, jednym tchem, ale urządzałam się tak, abym módz w różnych punktach się zatrzymać. Chcąc zatem

zwiedzić Nancy, leżące na drodze do Strazburga, wyjechałam wieczornym pociągiem o godzinie 9 z Paryża, na drugi dzień o 5ej rano byłam już w stolicy Lotaryngji. Godzinę zabrało mi oddanie rzeczy pod klucz jednemu z posługaczy, który mnie na nie wydał kartkę, oraz posilenie się w hotelu *paryskim* i z rękami wolnemi od wszelkich rupieci podróżnych, zaopatrzona tylko w książeczkę notatek i przewodnika (drukowanego), wyszłam na miasto. Był ciepły ranek majowy 1865 r. miałam dwanaście godzin do rozporządzenia, co zdawało mi się i słusznie, wystarczającem dla zobaczenia Nancy, więc tylko rozpytując się po drodze uprzejmych przechodniów, o jakich we Francji nietrudno, i radząc się mojéj książki, umyśliłam kierować się sama. Puściwszy się jakąś boczną ulicą, stanęłam nagle przed zabudowaniami w półkolu, wśród których były stajnie. Widocznie była to część jakiegoś pałacu, przed którego frontem wkrótce też stanęłam, przeszedłszy otwartą, wspaniałą bramę z licznemi ozdobami. Na kamiennych schodach głównego wejścia pałacu stał szyldwach.

— To zapewne zamek dawnych książąt Lotaryngji? pytam go.

Ale żołnierz bynajmniéj nie troszcząc się o to co dawniéj było. odpowiedział mi stanowczo:

— Nie, tu mieszka marszałek.

— Jaki marszałek?

— Forey. Cesarz mu dał ten pałac na mieszkanie, żeby sobie wypoczął po wojnie w Meksyku. Ale otóż i on wraca z rannej przejażdżki na śniadanie. I patrząc przed siebie, wyprostował się, przybierająe służbową postawę.

Skierowałam oczy w tę stronę. Długa ulica podobna do znanej *pod Lipami* berlińskiéj, rozciągała się prostą linją w głąb daleką. Ulica że tak powiem, dubeltowa, w pośrodku bowiem miała prześliczny szpaler rozłożystych drzew, kilkoma rzędami sadzonych, tworząc dla pieszych miłe do przechadzki miejsce. Z lewej strony nadjeżdżał dobrym kłusem dość pospolitéj powierzchowności mężczyzna, ni młody, ni stary, ni wysoki, ni niski, ni tłusty, ni chudy. Czapkę miał mocno nasuniętą daszkiem na oczy, u cywilnego surduta pokrytego kurzem, czerwieniła się malutka wstążeczka legji honorowej. Istnie tak wygląda nasz szlachcic z objazdu swych pól wracający, wyjąwszy może ten znaczek honorowy, a i to nie zawsze. Dwaj młodzi adjutanci także w cywilném ubraniu, którzy o kilka kroków w tył za marszałkiem pospieszali, wyglądali tylko na pełnych uszanowania towarzyszy. Dopiero przy zsiadaniu z konia mogłam się lepiéj wpatrzeć w oblicze marszałka, w któréj górującym wyrazem jest prostota. A jednak muszą być niepospolite zdolności wojskowe i dyplomatyczne w człowieku, któremu cesarz francuzów powierzył tak trudne zadanie do spełnienia. Zdolności te zresztą przyznaje mu cała Francja.

Puściłam się tedy cienistym środkiem ulicy, wśród któréj umieszczone ławki do odetchnienia zachęcały, a kresem jej był plac prześliczny, którego ściany tworzyły: ratusz. oraz sklepy różne w ładnych domach, próżnię zaś między ścianami wypełniały cztery bramy o żelaznych, mocno złoconych u góry sztachetach. W pośrodku placu zwanego królewskim wznosi się posąg Leszczyńskiego, stojący, naturalnej wielkości, z rękoma wzniesionemi do błogosławieństwa. Napis pod nim francuzki, brzmi: Królowi Stanisławowi wdzięczna Lotaryngja. Więcéj niż ten pomnik przemawiają, jako wspomnienie Leszczyńskiego, różne jego fundacje: tu szpital, tam szkółka dla dzieci, lub kościół z gruntu wyrestaurowany; proste, szerokie ulice, oraz cały swój porządek i ład jemu także miasto zawdzięcza. Lotaryngja błogie lata pomyślności liczyła za jego rządów, wtedy właśnie kiedy w okolicznych prowincjach, szerzyły się coraz bardziéj nadużycia. Nim po doznanych w Polsce zawodach, Leszczyński osiadł w nadanej sobie przez Ludwika XV Lotaryngji, Nancy było już zdawna jéj udzielnych książąt stolicą. W miejscu gdzie teraz dworzec kolei żelaznej rozciągały się bagniste stawy; w nich po stoczonej tu bitwie znaleziono ciało Karola Zuchwałego księcia Burgundji, który dzięki swemu niespokojnemu umysłowi i wojowniczym przymiotom, występuje trochę awanturniczo w historji, a bohatersko w romansach. Bez miłosierdzia dla zwyciężonych, książe Burgundji odbierał też od swoich nieprzyjaciół krwawe wet za wet. Przy jednym z kościołów Nancy pokazują dzwonnicę, na której przez zemstę powieszono stu jego oficerów.

Lecz pamięć Karola Zuchwałego nie mogła długo zajmować podróżną rodem z Warszawy, zwłaszcza że w Nancy to imie tak nasze, *Stanisław*, służące głównej ulicy miasta za nazwę (*faubourg de Stanislas*), samo pod oczy podpada. Jest w pośród niéj jakby brama tryumfalna także na cześć Stanisława wzniesiona, dowiedziałam się zaś że grób jego jest w kościele Matki Boskiej *dobréj pomocy*, będącym już prawie za miastem, ale złączonym z niem komunikacją omnibusową. Omnibus właśnie przechodził przez plac *królewski* i za kwandrans już, wysiadłam przed kościołem, który jest niewielki ale schludny i ozdobny. Pierwotnie stawiał go René książe Lotaryngski, lecz niszczejący już Stanisław kazał zburzyć i nowy wybudował. Z dawnych czasów pozostał tu obraz Matki Boskiej, zawieszony 1494 r. na pamiątkę zwycięztwa nad Karolem Zuchwałym.

Właśnie gdym weszła, promienie słoneczne wpadały przez kolorowe szyby okien wielkiego ołtarza, gdzie po dwóch stronach wznoszą się wspaniałe obojga Leszczyńskich gro-

bowce. Różowe blaski fantazjinie igrały po białym marmurze sarkofagu; jeden z nich krył zwłoki Stanisława zmarłego 1766 roku, drugi żony jego Katarzyny 1747 roku. We dwa lata po ojcu, zmarłéj córki przywieziono tu serce, aby tylu troskami za życia zgnębione, spoczęło w cichym grobie przy najukochańszych. W Wersalu naliczyłam pięć portretów Marji Leszczyńskiej; lecz te strojne postacie monarchini nie przywiodły mi jéj tak żywo na pamięć, jak te w Nancy grobowce. Rzewność jéj dla rodziców uczucia, prostota dawnych polek jaka ją zdobiła, wszystko na myśl mi przyszło i zadumałam się nad tą polską rodziną, co ze szlacheckiej na książęcą wyrosła, przyniosła w kraj obcy nieskalane cnoty pradziadów, zasiała dobrodziejstwami ślady swe na téj ziemi i błogosławiąca a błogosławiona w dalekim od ojczyzny grobie legła.

— *Vous êtes polonais*, krzyknął mi nad uchem organista, który to odgadł ze zwilżonéj źrenicy naszéj i powiódł nas tam obecnych do kamienia wmurowanego w ścianę w kształcie grobowego pomnika, gdzie późniéj już zmarłych rodaków polskie przypominały napisy.

Oprócz tego jest jeszcze w rzeczonym kościele grobowiec Franciszka Maksymiliana hr. Tenczyńskiego zmarłego 1756 r.

Zaledwie zdołałam przyklęknąć przed temi smętnemi pamiątkami zgasłych tu rodaków, kiedy nadeszła godzina w któréj omnibus miał wracać do miasta. Znów tedy przejechawszy się z kilkoma mieszkańcami Nancy płci obojej, wysiadłam przed pałacem zamieszkałym przez marszałka Forey'a; pałac ten był rezydencją rodziny Leszczyńskich, lecz tuż obok na skręcie ulicy wąskiej, jak je dawno budowano, istnieje starego stylu z pięknie rzeźbionym z kamienia frontonem, pałac dawnych książąt Lotaryngji, którego sale są dziś obrócone na pomieszczenie muzeum starożytności. Tu więc poustawiano wykopaliska znalezione w Lotaryngji, tu zbroje stare, oddrzwia i posągi z dawnych kościołów, broń, malowidła na szkle i mnóstwo portretów historycznych, szczególniéj też książąt Lotaryngji i spokrewnionych z niemi domów. Jest drugie muzeum nowsze w pałacu sprawiedliwości na placu *królewskim*; tak to każde miasto prowincjonalne we Francji, stara się o zgromadzenie rozproszonych zabytków, z których odgadując zamierzchłe czasy historyk, dopełnia objaśnienia ciemnych jeszcze faktów dziejowych.

Nancy wprawdzie należy do miast większych, liczy bowiem przeszło czterdzieści tysięcy mieszkańców, są w niem wyższe zakłady naukowe, są sklepy, hotele, przechadzki na wzór paryskich, ale już życia paryskiego nie ma. Panuje tu zwykła miastom prowincjonalnym cisza, pojazdów prawie nie widać. Oprócz wspomnionego Matki Boskiéj, zasługują tu na zwiedzenie dwa jeszcze kościoły: katedra. gmach duży, zdobny pięknemi malowidłami i kościół franciszkanów mieszczący groby dawnych książąt Lotaryngji. Są one wszystkie świeżo odnowione; szczątki książąt umieszczono w ośmiu, czy dziesięciu marmurowych czarnych sarkofagach, wszystkie są jednego kształtu z ozdobami złoconemi, wzniesione na stopniach, ustawione w kaplicy mającéj kształt rotundy, w oknach szyby kolorowe łamią promienie słoneczne w najfantastyczniejsze barwy. Wyłożenie ścian białym marmurem, posadzka, wszystko odpowiada całości i chociaż Lotaryngja dziś wcielona zupełnie do Francji, składa się tylko z departamentów, nie mniej przecie pamięć swych dawnych władców i swéj dawnéj udzielności szanuje. Na samym kościele są także liczne pomniki grobowe jak kardynała Vaudemont, Filipiny z Gueldres i t. p.

I znów ulicą Stanisława, po pod łukiem tryumfalnym jego imienia, pociągnęłam ku dworcowi kolei żelaznej, unosząc rzewne wspomnienia. Na grobowcu króla położono między innemi napis: „a imie jego przejdzie od pokolenia do pokolenia.“ Tak też jest w istocie z jego pamięcią. Wprawdzie imiona złych większego jeszcze nie raz używają rozgłosu, ale cóż zrównać się może z urokiem namaszczenia pełnym, jaki otacza wspomnienie dobroczyńców ludzkości?

J. Dobieszewska (Śmigielska).

Wiadomości Literackie.

Niedawno wyszła z druku broszurka p. t. *Żywot, skon i nauka Jakóba Franka*, przez Dr. Hi. Skimborowicza, skrzętnie i umiejętnie zebranemi szczegółami, obznajmia czytelników z osobistością naczelnika sekty, tak szeroko niegdyś w dawnéj Polsce rozgałęzionej i z nauką jego. Nauka ta poczerpnięta była na Wschodzie, gdy Frank goszcząc w Turcji pozornie przyjął mahometanizm. W 1755 roku przybył na Podole jako żyd antitalmudzista, chociaż uspokajał rabinów, że idzie tylko o utorowanie sobie drogi do godności krajowych, a w gruncie zwolennicy jego, religji Mojżeszowej trzymać się nie przestaną, nie mniej przecież narażony był na prześladowania. Duchowni katoliccy, którzy mu udzielali swej opieki łudzili się, że żydzi tak wciągnięci, zostaną w końcu dobremi chrześcianami. Frank udając zawsze człowieka nadprzyrodzonego umarł w Offenbach. Córka jego Ewa, była żoną awanturniczego bohatera, obecnie drukującéj się w naszém piśmie opowieści, księcia Marcina Lubomirskiego.